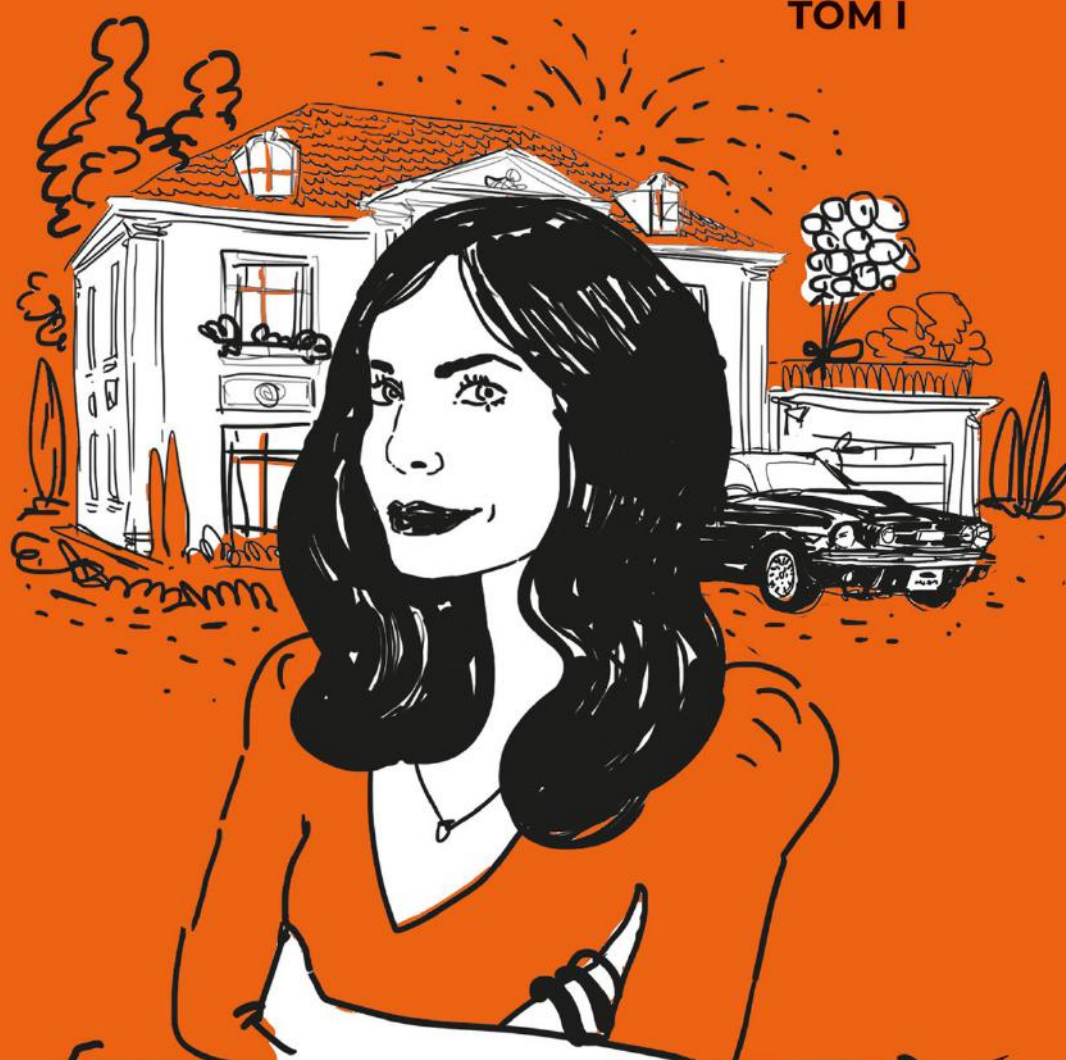


MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA

TOM I



**Mężczyzna, który
zjadł orzeszki**

WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA

**Mężczyzna, który
zjadł orzeszki**

TOM I

Rozdział 1

– Lucja Słotka – powiedziałam do chromowanej kratki, nad którą wisiała kulista kamera marki Siedle. Po cholere tu komuś siedle za siedem tysięcy?

Podziwiałam to cudo, czekając, aż ktoś z drugiej strony domofonu wreszcie się zdecyduje i wciśnie przycisk otwierający bramę z kutego żelaza. Swoją drogą, koszt samej bramy uzasadniał cenę nieprzyzwoicie drogiej kamery.

Brama drgnęła i zaczęła się powoli otwierać. Wcisnęłam gaz i mój ford mustang potoczył się alejką wysadzaną topolami. Przejechałam sto metrów i znalazłam się na podjeździe przed Dumą Warmii. Jakiś architekt niezłe poszalał. Rezydencja składała się z betonu i ze szkła, tak jakby autor nie mógł się zdecydować, czego ma być więcej. Wygrało chyba szkło. Zresztą nieskazitelnie czyste. Ciekawe, kto to wszystko myje.

Wjechałam na okrągły podjazd i wcisnęłam hamulec. Wsiadłam z samochodu, przeciągnęłam się i wyjęłam papierosa.

Podwójne szklane drzwi rozsunęły się, wypluwając poważnego młodego człowieka w ciemnym garniturze. Młodzieniec najpierw spojrzał na mnie z potępieniem, a potem już tylko na moje nogi, tym razem z aprobatą.

Zapaliłam papierosa.

– Tu się nie pali. I podjeżdża się od zaplecza – powiedział.

– No to szkoda, bo ja palę i zajechałam od frontu. – Patrząc mu prosto w oczy, zaciągnęłam się papierosem.

– Ale... – bąknął.

– Nie znoszę tego słowa. „Ale”. Wszystko, co następuje po „ale”, jest straszne. Chyba że brzmiałoby: „Ale pomogę z bagażami”.

Spojrzałam na niego wyczekująco.

Mruknął coś pod nosem i ruszył do bagażnika. Po drodze jeszcze raz zlustrował moje nogi.

Miałam tu spędzić najbliższy miesiąc i już mi się podobało.

Tadeusz Walenty był człowiekiem, który uwielbiał celebrację. Niewątpliwie zrobiłby wielką karierę jako mistrz ceremonii lub magik iluzjonista. Z jakiegoś niejasnego powodu wybrał jednak zawód producenta telewizyjnego. Ale swoją rolę grał mistrzowsko.

Siedziałam w przepastnym fotelu, który, jak zdążyłam się już dowiedzieć, został wykonany na specjalne zamówienie w Reims i obity tkaniną wyprodukowaną zgodnie z osiemnastowieczną niderlandzką technologią, bez żadnych kompromisów. Cena fotela sugerowała, że zrobiono go ze złotych samorodków i z piór peruwiańskich kolibrów.

– Bez żadnych kompromisów – powtórzył Walenty po raz siódmy, a przecież rozmawialiśmy dopiero dwie minuty.

Zachęcająco postukał w butelkę.

– Osiemnastoletnia highland park. Single malt bez żadnych kompromisów. No to zdrowie!

Tadeusz Walenty mógłby być całkiem przystojny, gdyby nie był aż tak przerysowany. Wszystkiego miał za dużo. Za dużo kratek na marynarce – byłam gotowa się założyć, że uszył ją słynny londyński krawiec – bez żadnych kompromisów. Zbyt obcisłe skórzane spodnie – zapewne ze skóry okapi. Ich zakładanie i zdejmowanie musiało być prawdziwą torturą i na pewno wiązało się z całą masą kompromisów. Za to bez kompromisów z pewnością obyło się przy szyciu. Okulary w zbyt kolorowej oprawie wołały, że są wykonane na zamówienie – bez ani jednego kompromisu. Cały zaś Tadeusz Walenty, lat sześćdziesiąt, zdawał się mówić, że czuje się, bez żadnego kompromisu, najwyżej na trzydzieści, a może nawet na osiemnaście.

– Zdecydowaliśmy się panią zatrudnić, bo powiedziano nam, że pracuje pani bez jakichkolwiek kompromisów – kontynuował Walenty.

Skupiłam się na whisky. Pijałam już lepsze, ale wyznawałam zasadę, że darowanej osiemnastoletniej whisky nie zagląda się w zęby. Walentemu dość dobrze szła rozmowa z samym sobą, mój udział był w zasadzie zbędny.

– Ja i moja żona Zofia Montegabbione... – perorował. – O, właśnie jest. Zosiu, poznaj naszą nową ochmistrzynię...

– Home Disaster Manager – przerwałam.

– Słucham?

– Jak wspominałam w rozmowie telefonicznej, jestem Home Disaster Manager. – Wyjęłam z kieszeni wizytówkę, na której było to napisane jak byk, i położyłam na stoliku obok karafki. – Nie ochmistrzynią, nie służącą, nie prowadzącą dom. Home Disaster Manager. A pan powiedział, że to się świetnie składa, bo nadciąga katastrofa.

– A tak, tak. – Walenty dopił duszkiem whisky. – Ale to za chwilę. Zosiu, może ty wyjaśnisz naszej nowej Home Disaster Manager... To się jakoś skraca?

– Lucja.

– Łucja, śliczne imię, na pewno się polubimy – rozanieliła się Zofia i chwyciła mnie w objęcia.

– Lucja. Przez L. Jak... Jak Lukrecja.

Bo tak naprawdę brzmiało moje imię. Tata się uparł. Ale przecież nikt nie musiał o tym wiedzieć.

Skrzywiłam się, bo gospodyni nadal trzymała mnie w uścisku, a jej długie włosy uniemożliwiały mi oddychanie. Na ile zdążyłam się przyjrzeć, żona doskonale pasowała do męża. Z daleka sprawiała wrażenie wesołej licealistki. Z bliska licealistka okazywała się trochę starsza, tak mniej więcej o trzydzieści pięć lat.

– Posłuchaj, kochana, na pewno ci się spodoba. Tadzio jak zwykle przesadza, nie czeka nas żadna katastrofa. Po prostu mój mąż obchodzi okrągłe sześćdziesiąte urodziny, zaprosiliśmy kilkoro znajomych i chcemy, żeby się doskonale bawili, a słyszeliśmy od kilku znanych osób, że możesz służyć pomocą w takich... nietypowych sytuacjach.

– Nie będą się doskonale bawić, jeśli Bromba nie dostanie swojego wiejskiego chlebka – mruknął Walenty scenicznym szeptem.

– Prosiłam cię, żebyś tak o niej nie mówił. – Zofia uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Pani Faustyna Jelonek, na pewno ją, kochana, znasz, po prostu lubi domową wiejską atmosferę.

Skinęłam głową. Oczywiście trudno było nie słyszeć o Faustynie Jelonek, która trzęsła kilkoma stacjami telewizyjnymi od czterdziestu lat, choć złośliwi twierdzili, że od momentu wynalezienia telewizji. O jej humorach krążyły legendy.

– Otóż Faustyna, oczywiście, kochanie, musisz do niej mówić „pani prezes Jelonek”, ona po prostu przepada za wiejską aurą. I dlatego do nas zagląda. Lubi zapach świeżo pieczonych bochenków wyjmowanych z glinianego pieca.

– To są koszty – wtrącił Walenty. – Piec zrobiłem bez kompromisów. Trzydzieści tysięcy złotych.

– To logiczne, gdzie indziej miałyby wpadać, pragnąc sielskości i wsi – powiedziała i omiotłam salon spojrzeniem. Marmurowe płyty na podłodze, kilka drogich abstrakcji, jedna ściana w całości ze szkła i olbrzymi kandelabr z kryształów zwieszający się z sufitu. Być może tak właśnie Faustyna Jelonek wyobrażała sobie wiejską chatę. Z wystrojem kłócił się tylko olejny portret jakichś ułanów na koniach.

– Nasza kochana gospodyni, Marysia, niestety nie może przygotować wiejskich przysmaków – westchnęła Zofia. – Naprawdę straszne nieszczęście, wypadek samochodowy, cała jest połamana.

– Straszne – przyznałam.

– Cieszę się, że rozumie pani sytuację. – Tadeusz skinął głową. – Zostaliśmy po prostu sami na łasce losu. Marysia skrajnie nieodpowiedzialnie weszła na jezdnię. Co prawda na pasach, ale zawsze jej powtarzałem, żeby najpierw się rozejrzała. No i postawiła nas w bardzo niezręcznej sytuacji. To są koszty, pieniądze nie rosną na drzewach. A tymczasem Bromba, to jest pani prezes Jelonek, przyjeżdża jutro i oczekuje, że zostanie powitana wiejskim chlebem, swojską kiełbasą, mlekiem prosto od krowy, domowymi ziemniakami ze skwarkami i tak dalej. Oszaleć można. Czy pani wie, że jak ona przyjeżdża, to ja muszę pić okowitę? I musiałem wybudować za domem wiejską zagrodę specjalnie dla niej i ściągnąć przez pół Polski autentyczną wiejską chatę. A to przecież są koszty. I jeszcze wciąż muszę powtarzać, że ta chałupa i tak tu wcześniej stała pusta i Bromba może sobie wpadać, kiedy chce, bo po co chata ma się marnować. Proszę pani, ja ją kupiłem za sto tysięcy, a za trzy razy tyle wyremontowałem. Koło Przemyśla ją znalazłem, żeby pani prezes Jelonek mogła tu okowitę popijać i zachwycać się prostym życiem bez pieniędzy. A, proszę pani, proste życie to są ogromne koszty. Jednym słowem, oczekuję, żeby pani podjęła ją tym wszystkim. Ma stąd wyjechać zachwycona. Bez kompromisów.

– Tadzio przesadza. – Zofia się uśmiechnęła. – Ale tylko trochę. To dla nas naprawdę ważne. Aha, jeszcze jedna mała prośba. Otóż pani prezes Jelonek z pewnych względów nie darzy sympatią pana Henryka Maciąga, tego krytyka filmowego, który również będzie u nas gościł.

– Nienawidzi go jak psa – mruknął Walenty i dolał sobie whisky.

– Powiedzmy, że ich spotkanie mogłoby być... wybuchowe. Dobrze więc, żeby się nie spotkali.

– Przez trzy dni? – zapytałam.

– Przez trzy dni. – Zofia skinęła głową.

- I to już wszystko?
- Tak, prawie. – Zofia zamilkła na chwilę. – I jeszcze pan Maciąg z pewnością nie byłby zachwycony, gdyby natknął się na panią Soneję Weles, tę aktorkę. Kiedyś oblała go śmierdzącą ciecżą, co spowodowało pewną niezręczność towarzyską...
- Obiecał, że jak ją znowu spotka, zrobi to samo, co ona na pewno zrozumie jako feministka i zwolenniczka równego traktowania kobiet i mężczyzn – dodał Walenty.
- I to już wszystko? – zapytałam. Byłam przyzwyczajona do niezwykłych wymagań klientów. Ogromna gaża, jaką inkasowałam za takie zlecenia, rekompensowała mi takie niedogodności.
- Oczywiście chcielibyśmy, żeby wszyscy goście spotkali się na urodzinowej kolacji Tadzia – dodała Zofia.
- Pani Jelonek, pan Maciąg, pani Weles – upewniłam się. – Mimo że się nienawidzą?
- Cieszymy się, że jakoś to załatwisz – uradowała się Zofia. – Tylko musisz pamiętać, kochana, że pani prezes Jelonek nie tknie ciecierzycy, pan Maciąg nie jada wołowiny, bo uważa, że to nieekologiczne dla planety czy coś takiego...
- Skąd pani to wie? – zaciekało mnie.
- Moja droga. – Popatrzyła na mnie z lekką wyższością. – W tej branży wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. W każdym razie pan Maciąg jest na bakier z wołowiną, chociaż jego partner, pan Lewy, bardzo chętnie jada zraziki, pani Weles jest wegetarianką, a ta Car to w ogóle je tylko zielsko. Nie mogłabym być weganką, a ty?
- I to już wszystko?
- Aha, mój Tadzio ma uczulenie na orzeszki ziemne. Bardzo silną alergię. Ale to wiedzą wszyscy, po prostu wszyscy.
- Ja nie wiedziałam.
- Nie zdążyłam zapytać, czy to już wszystko.
- I tu masz taki strój, chodziła w nim stara dobra Marysia... – zaczęła Zofia.

Zajrzałam do torby, którą mi wręczyła, i wyciągnęłam łowicki pasiak i kolorową chustę.

– Gdybyś mogła to założyć, prezes Jelonek...

– Rozumiem. Czy jednak pani prezes Jelonek nie zdziwi się, skąd strój łowicki na Warmii?

– Chata jest łemkowska i jakoś jej nie dziwi. – Walenty nalał sobie jeszcze whisky i wypił duszkiem.

– Krótko mówiąc: mam upiec chleb w piecu glinianym, załatwić swojską kiełbasę i mleko od krowy, sprawić, żeby ci wszyscy ludzie najpierw się nie spotkali, bo się pozabijają, a potem się spotkali i nie pozabijali, i robić to w tym... czymś. – Wskazałam na strój łowicki.

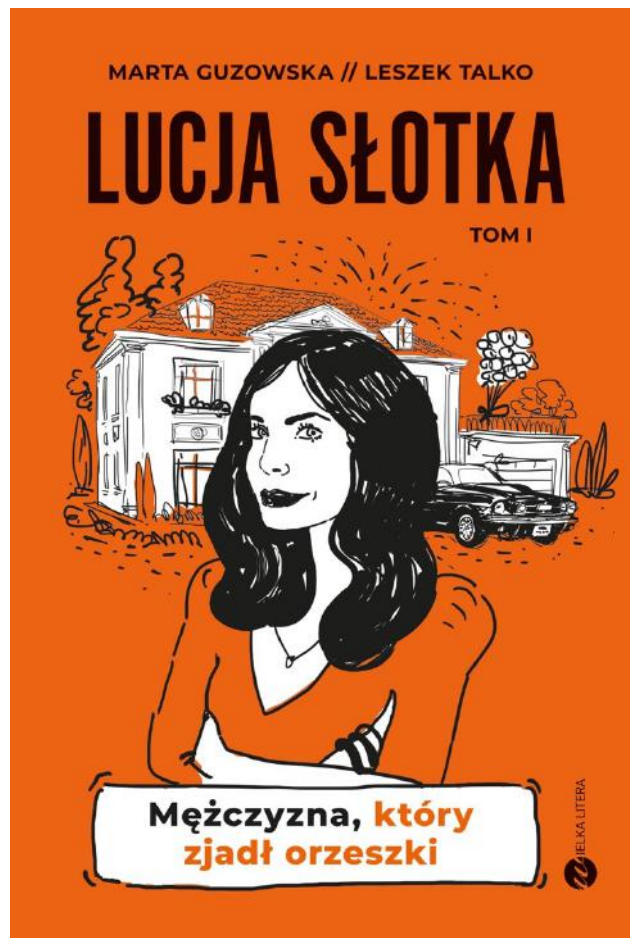
– I gdybyś wymyśliła jeszcze, jak by tu trochę pozmieniać wnętrze. Bo kiedy ona, to znaczy prezes Jelonek, wyjdzie z tej chaty i przyjdzie do nas na śniadanko, mogłaby doznać nieprzyjemnego wstrząsu kulturowego. No wiesz, żeby nasz salon bardziej przypominał prostą wiejską chatę. Może jakieś kubki z wzorem ludowym, dywan, ewentualnie boazeria. To może jest pomysł. Drewniana boazeria pokryta patyną czasu. Może trochę słomy, jakieś stare maszyny rolnicze. Nic wielkiego.

– W tym pokoju. – Jeszcze raz objęłam wzrokiem surowy szlifowany beton na ścianach i marmur na podłodze.

– Będzie nam się wspaniale współpracowało. – Zofia uśmiechnęła się i przycisnęła mnie ponownie do piersi.

Poczułam, jak dwa implanty wbijają mi się w ciało. Cholera, jak oni to robią w łóżku?

Przeczytaj [więcej](#) o książce:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl